

Adam Bromke

Idąc do Zana znów miałem szczęście...

Przegląd Pruszkowski nr spec., 64-67

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ADAM BROMKE

Matura 1945

[Adaś Bromke był synem polskiego oficera, który znalazł się w czasie drugiej wojny światowej na zachodzie. Adam wraz ze swoją mamą mieszkał w Warszawie, należał do tajnego harcerstwa. Oboje brali czynny udział w Powstaniu Warszawskim. W 1945 roku czuli się zagrożeni, udało im się uciec przez zieloną granicę. Pamiętam, jak mama Adama rozmawiając z moimi rodzicami stwierdziła, że zauważyli, że są śledzeni. Adam skończył studia w Anglii – cała rodzina wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Tam doktoryzował się – został profesorem. Cały czas korespondowaliśmy ze sobą. Po wielu latach przyjechał do Polski. Gdy otrzymał emeryturę, wrócił do opuszczonej z konieczności Ojczyzny na stałe. Zmarł w 2010 roku – I.H.]

IDĄC DO ZANA ZNÓW MIAŁEM SZCZĘŚCIE...

Wyjątek z książki „Polak w świecie” Adama Bromke

(...) Zachowaliśmy nasz pokój w Piastowie, i słusznie, bo niebawem wykwaterowano nas z mieszkania na Chmielnej. Zresztą w Warszawie nie było jeszcze szkół, a ja jak najszybciej chciałem wrócić do nauki. W marcu otwarto szkoły. Najbliższe, interesujące mnie liceum humanistyczne, znajdowało się w Pruszkowie – im. Tomasza Zana – pedałowałem więc tam codziennie rowerem. Lekcje odbywały się w dwóch rundach [rano odbywały się lekcje szkoły powszechnej im. Henryka Sienkiewicza – Zan, z powodu zniszczonego budynku gimnazjum przez Niemców, był gościem – I.H.] – nasza klasa spotykała się po południu. Był to kurs przyspieszony, mający doprowadzić nas do matury w czerwcu.

W annałach tej szkoły zostałem w pamięci, jako jedyny absolwent, który ukończył ją w cztery miesiące [Adam mylił się – przyszedł do naszej klasy po paru dniach od rozpoczęcia nauki – bardzo był zdziwiony, gdy mu po latach powiedziałam, że do tych, którzy ukończyli 2 klasę liceum w 4 miesiące, oprócz niego zaliczają się... Krysia Tadzikówna (powstaniec, skończyła medycynę) i ja – I.H.]. A także z tego powodu, że w mojej dziesięcioosobowej klasie byłem jedynym chłopakiem. Pamiętam dokładnie, że kiedy wszedłem do klasy, wywołałem pewne zdziwienie. W moich gumiakach i zakopiańskim kożuszk, z ledwo przyczesanymi krótkimi włosami, nie prezentowałem się najlepiej. Odstawałem wyraźnie od moich koleżanek – wytwornych pruszkowianek. Akurat była lekcja historii, a tematem – brytyjska ekspansja kolonialna. Zgłosiłem się i – jak się zdaje – nieźle to przedstawiłem. Lody zostały przełamane. Przez następne parę miesięcy bardzo zżyłem się z klasą. Koleżanki nawet pieszczotliwie nazywały mnie „jedynakiem”. Z paroma z nich po dziś dzień jestem w serdecznej przyjaźni.

Idąc do Zana znów miałem szczęście. Była to szkoła z tradycją i świetnym zespołem nauczycielskim. Spośród nauczycieli moimi ulubionymi były dwie panie: polonistka Zofia Steffen, nasza wychowawczyni. Sama, mając za sobą przeszłość konspiracyjną, z niesłychanym taktem umiała postępować z młodzieżą kształtowaną w tak złożonych czasach i druga, „moja” anglistka, Lidia Winniczuk – jako że tylko ja jeden przygotowywałem się do egzaminu maturalnego z tego języka. Anglistyką zajmowała się ubocznie, a przede wszystkim była znakomitą łacinniczką – w późniejszym okresie została profesorem tego przedmiotu na Uniwersytecie Warszawskim [była wykładowcą na filologii klasycznej – I.H.]. W swoich pamiętnikach napisała, iż byłem dobrym uczniem i wyrażała żal, że wykładam gdzieś daleko, a nie w Polsce.

Oczywiście występowałem już pod moim prawdziwym nazwiskiem [uciekał z obozu po powstaniu i wtedy zmienił nazwisko – I.H.] – stałem się znów prawowitym synem mojej mamy. Dalej

ukrywałem jednak moją AK-owską przeszłość. Na drodze z Piastowa do Warszawy – gdzieś koło Włoch – stał ogromny plakat przestrzegający mnie przed ujawnieniem. Pokazywał żołnierza polskiego – właśnie w przedwojennej połówce – z karabinem i bagnetem skierowanym przeciwko „zapłutemu karłowi reakcji”, a ten kulący się ze strachu potworek miał na piersiach napis: „AK”.

Moje panny pruszkowianki (niektóre same zamieszane w konspirację) domyślały się skąd się wziąłem, ale dyskretnie nie wypytywały mnie o to. Chyba wiedzieli również niektórzy nauczyciele. Nie wytrzymałem tylko raz. Dyrektorem naszego gimnazjum był Michał Sokorski (ojciec Włodzimierza, późniejszego ministra kultury i orędownika „sorealizmu”). Był dobrym pedagogiem i miał opinię dobrego człowieka. Już przed wojną był lewicowcem, a następnie gorącym zwolennikiem „władzy ludowej”. Wykładał nam przedmiot: zagadnienia Polski współczesnej. Chyba gdzieś w początkach maja obwieścił, że następnym tematem, którym mamy się zająć, będzie podpisany właśnie traktat o przyjaźni polsko-radzieckiej. Zdawałem sobie sprawę ze znaczenia tego wydarzenia, ale widziałem w nim czynnik podporządkowania Polski przez Stalina. A pan Sokorski przedstawił traktat w sposób „tryumfalistyczny”. Uśmiechnąłem się wówczas szyderczo. Sokorski zauważył to i skarcił mnie: „Widzę, że pan Bromke się śmieje, a przecież to jest naprawdę ważny dokument”. Wstałem z ławki: „Panie Dyrektorze – powiedziałem – jest taki piękny słoneczny dzień. Uśmiechnąłem się po prostu do panny Ireny Szymańskiej”. „Niech pan siada” – polecił i nie wyciągnął wobec mnie żadnych konsekwencji. Irka też pamięta ten incydent. Z męża Horban, wykładała przez wiele lat historię u Tomasza Zana, znana jest również w Pruszkowie jako działaczka społeczna.

Ostatnim akordem naszej klasy było przyjęcie pomaturalne – właśnie u Irki, w obszernym mieszkaniu jej rodziców przy ulicy Chopina. Była piękna lipcowa noc, a po drugiej stronie ulicy szumił park. Byłem jednak trochę stremowany, bo pomimo całego

doświadczenia życiowego nie umiałem tańczyć. Po wielu latach przypominając ten wieczór we wspomnieniach wychowanków szkoły Tomasza Zana, koleżanka z mojej klasy, Zosia Łosiewiczówna (później Chmurowa) napisała, że choć skądinąd jestem inteligentnym facetem, to jednak słabym tancerzem. Nigdy jej tego nie wybaczyłem, bo ostatecznie opanowałem – i to wcale nieźle – i tę sztukę. I przebalowałem w życiu wiele nocy.